

Wspomnienia

Poniżej zamieszczamy materiał prezentujący polską filozofię przed dwudziestu lub trzydziestu latami. Mamy wrażenie, że tego typu wspomnienia mogą szczególnie zainteresować naszych młodszych Czytelników, choć pewnie nie tylko ich. Chętnie zamieścimy nowe wypowiedzi na temat polskiej filozofii bezpośrednio przed i po 1968 roku. Może z tych wspomnień powstanie bardziej kompletny i ciekawy obraz nastrojów i tendencji owego okresu.

Stanisław Jedynek

Moje spotkania z filozofią w Warszawie

(lata sześćdziesiąte, lata siedemdziesiąte ubiegłego wieku)

Nomina sunt odiosa

Na Uniwersytecie Warszawskim rozpocząłem studia filozoficzne w 1958 roku. Już wcześniej zetknąłem się z problematyką filozoficzną. Była to myśl filozoficzno-społeczna i aksjologiczna Bacona, Hume'a (po latach napisałem popularną książkę o myśli Hume'a), rosyjskich krytyków i filozofów – Pisariewa, Miecznikowa i innych. Także była to myśl marksistowska: Engelsa, Kautskiego... Od czasów szkolnych stykałem się z literaturą w językach słowiańskich, głównie rosyjskim i czeskim. Teksty czeskie zbierałem... z okolicznych wzgórz w czasie brawurowej akcji balonowej Stanów Zjednoczonych (pochodzę z południa Polski). Chcąc nie chcąc, ale raczej chcąc, wciągnąłem się w lekturę różnorodnych (nie tylko politycznych) tekstów czeskich i słowackich. Miałem też do dyspozycji (gdy zmienił się wiatr) druki węgierskie, ale to zdecydowanie i na zawsze przerosło moje możliwości lingwistyczne. Później wielokrotnie pisałem o różnych sprawach filozofii czeskiej. Zresztą moja pierwsza praca drukowana w „Studiach Filozoficznych” dotyczyła aksjologii znanej czeskiej badaczki I. Popelovej. Za językiem czeskim poszły już nieco później inne języki słowiańskie. Wielokrotnie recenzowałem i omawiałem książki i czasopisma z tego obszaru, a później opublikowałem i publikuję nadal wiele studiów o filozofii czeskiej, słowackiej, serbsko-chorwackiej, rosyjskiej i ukraińskiej.

Pochodząc z pogranicza trzech krain – Ziemi Krakowskiej, Ziemi Kieleckiej i Śląska – miałem nawet w mojej małej miejscowości do czynienia z różnymi grupami środowiskowymi. We wczesnym dzieciństwie mignął mi przed oczyma jeszcze świat Żydów polskich, których Niemcy prawie doszczętnie wymordowali w naszej osadzie. Wiele lat po wojnie krążyły jeszcze u nas urokliwe, pełne nostalgii opowieści o ludziach i sprawach dla mnie już egzotycznych, np. o carskim rosyjskim pułkowniku, który pijany przyjeżdżał na inspekcję do pobliskiego pogranicznego garnizonu Miechowa (a dla Miechowa moja miejscowość była stacją kolejową) i spędzając Żydów, pobierał łapówki od tych, którzy chcieli jednak utrzymać swe rodowe nazwiska. Gdy ktoś dał za mało, to pułkownik O., ulubieniec cara Mikołaja II i miłośnik historii, zmieniał mu nazwisko na jakiegoś Kieleckiego czy, ku wielkiej rozpaczy zainteresowanego, wprost na jakieś polskie nazwisko historyczne. Po wojnie miejsce Żydów zajęli Lwowiacy. Z nimi chodziłem już do szkoły. Nasłuchiwałem się przeróżnych dziwnych opowieści, anegdot, historyjek. Pozostał też trwały sentyment do tamtych owianych legendą miejsc. Później dobrze mogłem poznać Kresy. Wiele zresztą pisałem o tamtych stronach ukraińskich wtedy, gdy już było można to publikować. Wcześniej nieraz dawałem wyraz swoim nie na czasie sentymentom. Pamiętam jakiś wykład z propedeutyki, który prowadziłem jeszcze na Politechnice Warszawskiej. Dobrze zapamiętałem entuzjastę z pierwszej ławki. Gdy mówiłem o jakichś problemach filozoficznych, to nie przejawiał zainteresowania, ale starannie i szybko notował różne ciekawostki dotyczące Lwowa i okolic – mówiłem np. o okolicznościach wyrzucenia z grobowca prochów Benedykta Dybowskiego na cmentarzu Łyczakowskim. Ta nietypowa gorliwość nieco mnie otrzeźwiła. A propos gorliwości – pamiętam z marca '68 (oczywiście w Warszawie) pewnego jegomościa, który przyszedł na wydział filozoficzny, dźwigając pod pachą aż trzy nowiutkie tomy Tatarkiewicza (wydane chyba prosto z branżowego magazynu). Ten pan „student” starał się podejść jak najbliżej do różnych rozgorączkowanych grupek i podsłuchiwał, o czym to rozprawiają zbuntowani studenci i pracownicy.

Przychodząc na uniwersytet, miałem już sprecyzowane pozafilozoficzne, ale humanistyczne zainteresowania: światem słowiańskim i światem naszych dawnych Kresów, raczej ukraińskich. Miałem także zrozumiałą sympatię do świata kultury żydowskiej (mój bliski kolega był Żydem – przechowywanym wraz z całą rodziną w sąsiedztwie). Na uczelni nie było dla mnie nigdy jakiegoś problemu narodowościowego: przyjaźniłem się z Żydami, Białorusinami, Macedończykami czy Arabami. Oczywiście – boleśnie odebrałem, jak prawie cała społeczność uniwersytecka, wydarzenia marcowe i całą z tym związaną podłość. Bolało mnie przeciwstawianie sobie ludzi, np. Polaków Żydom. Bolało mnie przeciwstawianie robotników inteligencji. Nigdy nie zapomnę sceny, jak nam w marcu wyglądającym z okien wydziału wygrażali spędzeni robotnicy Żerania (sam pochodzę z rodziny robotniczej). Hańba tym, którzy do tego dopuścili!

Uniwersytet Warszawski to była i jest prawdziwa wielka szansa edukacyjna. Tu miałem ogromne szczęście zetknąć się z uczonymi wielkiej miary. Coś z ich oddziaływania przecież przejąłem w swojej pracy. Pierwszą postacią, która w dużym stopniu oddziaływała na moje zainteresowania, był Stanisław Ossowski. Prowadził on zajęcia monograficzne oraz ze wstępu do socjologii. Były one urozmaicone różnymi ciekawostkami, a także elementami spektakularnymi, jak np. fragmentami pieśni czy tańców indiańskich. Później jeszcze zdawałem u Profesora monograf z socjologii religii. Profesor polecił mi wybrać sobie jedną religię do analizy: wybrałem starożydowską. Musiałem między innymi przeczytać cały Stary Testament i wiele książek (po francusku) na temat. To dużo mi dało. Z zainteresowań tematyką wschodnią wyrosła później moja pierwsza książka *Etyka starożytnego Wschodu* oraz kilka innych podobnych, jak np. *Bogowie, władcy i zwykli ludzie* (Warszawa 1986).

Dużo skorzystałem, podobnie jak moi koledzy i koleżanki, z bliskotliwych i bardzo erudycyjnych zajęć Leszka Kołakowskiego i jego ówczesnego najlepszego asystenta Krzysztofa Pomiana. Pomijam tu ten wątek (pisałem o tym w książeczce *Honorowy Radomianin Leszek Kołakowski*, Radom 1994).

Sądzę, że trzeba też podkreślić wyrabianie w nas (w całym młodym pokoleniu warszawskich studentów filozofii) dwóch umiejętności bardzo ważnych: czytania w obcych językach (tak było u Kołakowskiego, Schaffa, Fritzhand, Baczki i innych) oraz *rzetelnej analitycznej kultury*. Tu dużo dokonał swymi „nudnymi” seminariami Ajdukiewicz, jeden z kilku największych filozofów polskich ubiegłego stulecia, a także Schaff, a także Fritzhand. Seminarium Fritzhand, z którego wywodzi się grupa znanych i wybitnych filozofów moralności, jak Soldenhoff, Hołówka czy Szawarski, było i dla mnie dobrą szkołą roboty analitycznej. Przygotowałem tu pracę doktorską z dziedziny metaetyki, a później odszedłem w kierunku problematyki, która mnie bardziej pociągnęła: zagadnienia etyczno-społeczne, historia etyki, historia filozofii i myśli społecznej.

W pewnym okresie związałem się z redakcją „Studiów Filozoficznych”. Ceniłem to pismo i ceniłem środowisko z nim związane, choć czas był trudny. Niektórych w 1968 r. bezmyślnie odsunięto od pracy w piśmie. Trzeba było robić „Studia”, często improwizując. Udało mi się przygotować kilka numerów specjalnych, np. z filozofii staroindyjskiej i jugosłowiańskiej. Miałem szczęście poznać tak wybitnych znawców filozofii indyjskiej jak Słuszkiewicz i ks. Tokarz. Poznałem także grupę filozofów jugosłowiańskich – z niektórymi jak ze Stojkovicem podtrzymuję znajomość do dzisiaj. Współredagowałem też tomy biblioteki „Studiów”: tom humanistyczny czy „Filozofia a pokój”. Przy okazji mogłem zaznajomić się z tak wybitnymi postaciami humanistyki jak Lidia Winniczuk.

Pracując w „Studiach”, przekonałem się, że jednak nie wszyscy cenią to tak popularne wówczas pismo filozoficzne. Gdy zwracałem się z prośbą o teksty, niektórzy odmawiali współpracy, inni – nie mniej wybitni – chętnie dawali swoje

cenne rozprawy (to było naturalne). Bardzo jednak zabolęła mnie złośliwa ocena „Studiów” w amerykańskiej *Encyklopedii filozoficznej* Edwardsa. W hasło o czasopismach filozoficznych nie czepiali się słabiutkich pism filozoficznych np. Słowacji czy Bułgarii, czy jakże przeideologizowanych „Woprosów Filozofii”, ale o „Studiach” niejaki W. Gerber napisał te słowa: *This periodical replaced Przegląd Filozoficzny (1891–1949) at the beginning of the period of militant Marxist domination. According to an article in a 1963 issue of Studia Filozoficzne, it was Lenin who first solved Zeno's antinomy of the arrow in flight (The Encyclopedia of Philosophy, P. Edwards, t. 6, New York 1967). Przykładem największej dezinformacji (rekord świata) było jednak hasło Didiera Julia w Larousse'a Dictionnaire de la Philosophie, Paris 1964, s. 237 o polskiej filozofii. Oto ono: Polska filozofia: charakteryzują ją obecnie trzy nurty filozoficzne: marksizm, który jest najważniejszy ze względu na swój charakter urzędowy, a także atrakcyjność; neopozytywizm - tu zanikający (Nowinski, pani Eilstein), który jest szkołą logiczną, wywodzącą się z Koła Wiedeńskiego z lat 30.; neotomistyczny nurt katolicki, który jest silny ze względu na rozpowszechnienie katolicyzmu w kraju (Krapiec, Legouricz, Ingarden, Klosak). Egzystencjalizm pojawił się w trakcie wydarzeń 1955–1956 i jest tutaj jedną z odmian marksizmu, uznającą jednak relację bardziej wolną i bardziej osobową między jednostką a społeczeństwem.*

O różnych innych osobliwościach wiedzy na temat polskiej filozofii czy filozofii w krajach słowiańskich pisałem w książce zbiorowej *Filozofia i religia w kulturze narodów słowiańskich*, Rzeszów 1995. Wspomnę tu tylko, że np. w dawnych, sowieckich encyklopediach filozoficznych Petrażycki to po prostu, bez owijania w bawełę, *russkij burżuaznoj prawowied i sociolog*. Dzisiaj Rosjanie przezornie nie podają już w ogóle jego narodowości. Za to w *Kratkoj filosofskoj encyklopedii* (Moskwa 1994) napisano, że Copernikus to średniowieczny filozof i humanista oraz astronom (bez podania narodowości – to nawet rozumiem, ale dlaczego średniowieczny?).

Za czasów mojej wczesnej współpracy ze „Studiami” dużo zajmowałem się historią myśli aksjologicznej Wschodu, a także historią polskiej etyki. Z tych obszarów badawczych opublikowałem po kilka książek. Najwcześniej *Etykę starożytnego Wschodu* (Warszawa 1972). Z dziedziny historii etyki – między innymi *Etykę polską w latach 1863–1918* (Warszawa 1977) oraz już później w Ossolineum słownik *Etyka w Polsce*. W tamtych odległych latach był jeszcze jeden obszar badawczy, który jakoś mnie interesował. Była to aksjologia, może nie tyle nawet marksizmu, co socjalizmu (ale w dawnym polskim tego słowa rozumieniu). Słowo „socjalizm” tak się u nas dzisiaj wytarło, że kojarzy się z asocjalistyczną partią, która przez swoje praktyki biurokratyczne całkowicie na dziesięciolecie pogrzebała idee socjalistyczne. A przecież u nas tradycje socjalistyczne były jakże bogate. Po raz pierwszy wyraz „socjalizm” pojawił się w języku polskim w 1835 roku w piśmie Sekcji Grudziąż do Sekcji Towarzystwa Demokra-

tycznego, pisałem o tym w studium o perypetiach socjalizmu i marksizmu w Polsce, w książce jubileuszowej B. Burlikowskiego *Zrozumieć świat i człowieka* (Kielce 2002). Tam data pierwszej polskiej wzmianki o socjalizmie jest w druku przedstawiona. A propos prześladowających mnie błędów. Już nawet w ogłoszeniu o mojej obronie rozprawy doktorskiej „Życie Warszawy” podało: Spór o naturalizm w matematyce (zamiast metaetyce). Mało kto wówczas w 1968 r. słyszał zresztą o metaetyce. W mojej książce dla młodzieży *U źródeł filozofii* (Nasza Księgarnia 1981) z Arystotelesa zrobiono znawcę filozofii... staroegipskiej (zamiast starogreckiej) ku niewątpliwej ucieście wdzięcznego recenzenta.

Wracając jednak do zainteresowań tradycją socjalistyczną, która była bliska niektórym moim profesorom, jak Ossowskiemu i Fritzhadowi, wdałem się w dywagacje moralistyczno-aksjologiczne. Powstały z tego dwie książki, z których pierwsza – *Etyka i socjalizm* – wywołała chyba zbyt ożywioną dyskusję i wiele, wiele recenzji. Chwalono mnie i ganiono, jak to u nas. Z oskarżeń pamiętam, że ktoś pisał, iż szkaluję klasę robotniczą. Oskarżono mnie o socjalizm etyczny, co pewnie było bliskie prawdy i dziś pochlebne, ale wówczas groziło represjami. Na szczęście tu jest tolerancyjna Polska, a nie np. Bułgaria, Rumunia czy nawet Jugosławia, nie mówiąc o Rosji. Nie spotkało mnie nic złego. Jak sądzę, wiele kwestii podjętych wówczas przeze mnie jest nawet na czasie bardziej dzisiaj niż wówczas (porażająca korupcja, rozchwianie wartości wśród młodzieży, narastające wciąż w kraju tendencje anarchizujące). Niejednoznaczna jest też ocena E. Gierka (w mojej książce chyba zbyt pozytywna), który na tle innych polityków wypada dzisiaj wcale nieźle. Nie dziwię się, że niektórzy, których zmarginalizowano we własnym kraju, wspominają go z sympatią i myślą nawet o pomnikach dla niego.

Mój stosunek do marksizmu (myśl socjalistyczna to trochę co innego) był już wybiórczy, tak jak u wielu innych od czasów Krzywickiego. Odrzucały mnie skrajności tzw. logiki dialektycznej, z dystansem podchodziłem do „ontologii”, a nawet do tzw. materializmu historycznego (przez lata nie mogłem się zajmować filozofią społeczną). Ceniłem i cenię pisma historyczne Marksa, jego zaangażowanie w sprawy polskie, a także myśl „młodego Marksa”. Cenię umiejętności dobrej popularyzacji Engelsa (pisma społeczne), Plechanowa (historia myśli społecznej), także nawet pisma ekonomiczne młodego Lenina i wreszcie Labriolę, Gramsciego i Lukacsa. Cenię niektórych marksistów polskich. Także pisma społeczne i historyczne Hochfelda, Schaffa, Ciołkosza i Strzeleckiego. Bardzo raził mnie jednak *Słownik filozofii marksistowskiej* wyprany z rzetelnych tradycji, np. polskiej nie tylko nieortodoksyjnej filozofii marksistowskiej. Już dzisiaj powoli wraca (np. u studentów) zainteresowanie tą problematyką, gdy opada kurz uprzedzeń. Jest jednak skandalem, że nie bada się w ogóle systematycznie polskiej filozofii ostatniego sześćdziesięciolecia, jak gdyby to była czarna dziura. Niezbędna jest np. rzetelna bibliografia filozofii polskiej w latach 1944–1989 (aby na jakimś roku

zamknąć książkę). Przydałby się obszerny słownik filozofów polskich dwudziestego wieku, jakiego dorobili się odnośnie do swojej filozofii Cześci, Ukraińcy, Rosjanie, a nawet Bułgarzy. Nad takim słownikiem pracują też, o ile wiem, Rumuni.

Nie będę już pisał o innych moich publikacjach. Obszernie pisze o nich prof. A. Drabarek w „Edukacji Filozoficznej” (tom 32). Wspomnę tylko, że czuję się związany z tradycjami filozofii warszawskiej, poczynając od pozytywizmu. Ceniłem sobie od lat studenckich lekturę przede wszystkim „Ateneum” i „Przeglądu Filozoficznego”. Nieraz mówiłem kolegom z innych stron, że my w Warszawie za moich czasów korzystaliśmy jeszcze z nadpalonych egzemplarzy czasopism i książek. Ceniłem i cenię podręczniki Struvego, *Elementy* Kotarbińskiego, liczne książki Tatarkiewicza, studia niesłusznie zapomnianej Kodisowej, prace Mahrburga, Krzywickiego (część z nich jest nadal trudno dostępna), Ajdukiewicza, Legowicza, Kołakowskiego. Długo by trzeba jeszcze wyliczać.

Słyszałem oczywiście wiele anegdot o moich profesorach i profesorach moich profesorów. O Struvm, który miał osobliwą przygodę w hotelu „Zorża” we Lwowie, do którego przyjechał z odczytem. Na noc wystawił buty do czyszczenia, ale nikt mu ich nie oczyścił (nie było tu takiego zwyczaju). Przywołał więc rano posługacza i nałożył mu – tak po carsko-warszawsku – po buzi. Dużo zachodu kosztowało Twardowskiego, aby udobruchać galicyjskie władze, chcące ukarać panoszącego się satrapę „moskala”. O Kotarbińskim, który w czasie pierwszej inauguracji roku akademickiego na UJ (jeszcze za cesarskich Niemców) wchodząc na scenę, nadepnął sobie na toę i upadł jak długi. O profesorze Krońskim, który miał asystenta, który go we wszystkim natrętnie naśladował. Pewnego razu profesor zwierzył się na zajęciach, że następnego dnia zrobi coś, w czym asystent nie będzie go naśladował. Nazajutrz wcześniej rano przyszedł, wziął miotłę z kąta i zaczął zamiatać chodnik przed wydziałem. Gdy dotarł do Traugutta, to zamarł, bo od Zachęty zamiatał już chodnik asystent X (później znany profesor). Profesor Kroński się załamał!

Dużo historyjek słyszałem o oryginalnym zachowaniu Kazimierza Twardowskiego, są one jednak raczej znane. Może w takim razie tylko jedna: Twardowski jedzie lwowskim tramwajem. Wchodzi jakaś kobieta i szarmancki profesor ustępuje jej miejsca. Po chwili rozlega się ryk na cały tramwaj: Wstać! Kobieta zrywa się przerażona, a Twardowski siada z powrotem i mówi głośno i usprawiedliwiająco: – Bo nie podziękowała!